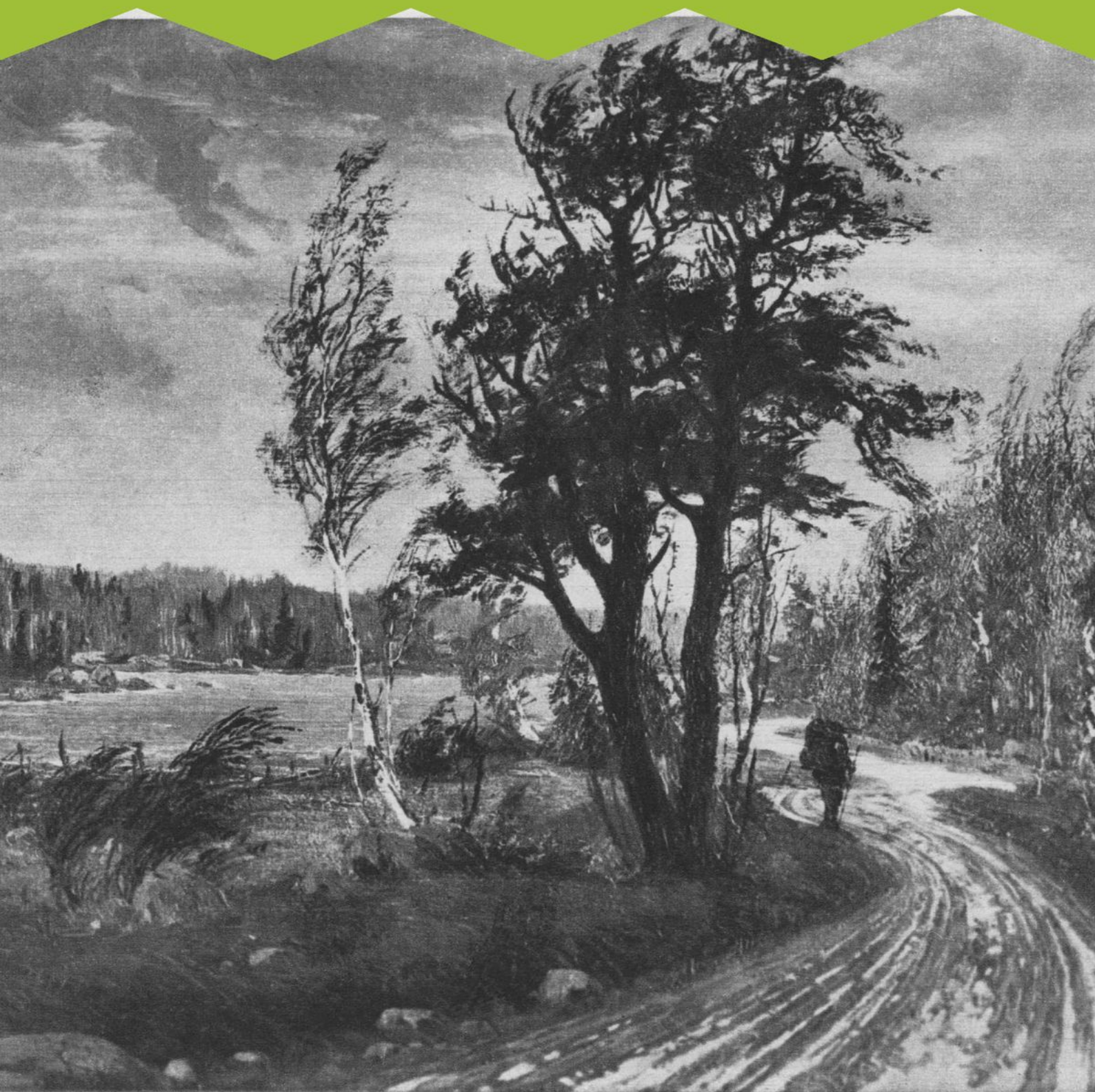


Elegia na śmierć szczegółów (tom)



JAROSŁAW KLEJNOCKI

Elegia na śmierć szczegółów

WIERSZE WYBRANE

JAROSŁAW KLEJNOCKI, JAROSŁAW KLEJNOCKI, JAROSŁAW
KLEJNOCKI, JAROSŁAW KLEJNOCKI, JAROSŁAW KLEJNOCKI,
JAROSŁAW KLEJNOCKI, JAROSŁAW KLEJNOCKI, JAROSŁAW
KLEJNOCKI, JAROSŁAW KLEJNOCKI, JAROSŁAW KLEJNOCKI,
JAROSŁAW KLEJNOCKI, JAROSŁAW KLEJNOCKI, JAROSŁAW
KLEJNOCKI, JAROSŁAW KLEJNOCKI, JAROSŁAW KLEJNOCKI,
JAROSŁAW KLEJNOCKI, JAROSŁAW KLEJNOCKI, JAROSŁAW
KLEJNOCKI, JAROSŁAW KLEJNOCKI, JAROSŁAW KLEJNOCKI,
JAROSŁAW KLEJNOCKI, JAROSŁAW KLEJNOCKI, JAROSŁAW
KLEJNOCKI, JAROSŁAW KLEJNOCKI, JAROSŁAW KLEJNOCKI,
JAROSŁAW KLEJNOCKI

I. Ciemna zasłona, mętne zwierciadło

Skatý Dover, biel

I. CIEMNA ZASŁONA, MĘTNE ZWIER- CIADŁO

Na fotografii profil szlachetniejszy niż rozległość
en face sweter wytarty ulubiona włosieńnica
podróży nagle szczęście jak buczenie trzmiela
ziemia w tle ale jaka ziemia

Zawieszony między krajami pod niebem
takim samym choć innym oparty plecami
o zimną stal kominowej wieży patrzę w górę
poza kadr na rozbujaną nad nami mewę
przez chwilę spoglądamy na siebie.

zatrzymany ruch już teraz na zawsze
zamieszka w albumie i drzemiący w porcie statek
o śmiesznej dla nas nazwie „Pride of Sandwich”
przetrwa tę mewę nieznośny błękit nad zamkiem
Dover momentalny uśmiech.

Tylko ponowne czekanie na lekkość
obietnicę pragnienie tęsknot nową biel.

Nagle

I. CIEMNA ZASŁONA, MĘTNE ZWIER- CIADŁO

Maćkowi

Nagle nagle w południe o smutnej godzinie
wieczornej pół do siódmej rano w nie
istotnej chwili podnosisz głowę wiatr
czesze włosy rozwiewa połę płaszcza przylepia
liście do murów wyłączasz telefon radio światło
zakręcasz gaz zamykasz brulion szafę barek drzwi
zapominasz imiona przyjaciół i
przygodnych znajomych wyrzucasz gazetę
notatki zaciągasz szorstko kotary gubisz
klucze i kalendarzyki ironicznie wspominasz.

Tak wyzwolony gotowy nagle stajesz
bezzadny bez miejsca i czas bez
miasta oswojonego lasu rzeki a nawet
szyldów reklam śmietników brudnych
schodów lub placów.

Chcesz i nie chcesz stoisz nie bardzo
ten sam dotknięty lekko dotknięty
nagle tak nagle jakby nigdy.

Epigramat III

(URODZINY)

I. CIEMNA ZASŁONA, MĘTNE ZWIER- CIADŁO

Młodość powraca Przegląda się w lustrze
Wędruje po uśpionym domu Pochyla się
nad łózkami Patrzy na twarze zagląda do
lodówki i spiżarni Grzebie w szufladach
Wchodzi niepostrzeżenie do garażu Potem
na odchodnym głaszcze jeszcze psy a one
ruszają łapami bo śni im się przyjemność
Młodość powraca raz do roku w tę jedną
noc Niezauważona Wspominana Wolna
Bez troska

I. CIEMNA ZASŁONA, MĘTNE ZWIER- CIADŁO

Panu Robertowi Mielhorskiemu

Te moje miasta one wszystkie
jak słupy dymu nad polami
tak stoją mgliste i niepewne
tak przypominane w jednej chwili

A żadne z nich nie Jeruzalem
a każde w sopel zastygnięte
i omotane w pajęczyny jak
w przezroczystym kłoszu zwłoki

Kraków, mgła

I. CIEMNA ZASŁONA, MĘTNE ZWIER- CIADŁO

Zanim podejdziesz do okna przywitać
się z dniem zanim czajnik obwieści
swą wieczną gotowość zanim weźmiesz
gazetę długopis lub może zanim rynna
odśpiewa żelazną pobudkę jeszcze stoisz
odkryty bezbronny jak mgła nim pochłonie
ją ogień zimnego poranka.

I. CIEMNA ZASŁONA, MĘTNE ZWIER- CIADŁO

Robertowi

O'Harystyczna bydgoska Wenecja Łopocze
na wietrze bielizna Dzieci patrzą na nas
zza rzeki Młyny stoją ciche Tylko chrzęst
żwiru pod stopami Tylko muzyka z dalekich
młodzieżowych pubów Idzie wieczór Spacer
Wracamy do siebie Ten który prowadzi nas
raczej milczy

I. CIEMNA ZASŁONA, MĘTNE ZWIER- CIADŁO

W tym przestrzennym trójkącie: księżyc
przełęcz las dla nas nie ma miejsca
choć stoimy wzruszeni Niedawno szliśmy
przez czerwoną ziemię Przez błoto Wśród
mokrych traw wypatrujących tropów Szliśmy
zboczem Pilnując słońca Pilnując
kierunków Teraz czekamy na burzę
zapowiedzianą ulewę Jutro wejdziemy
w nią

Pośpiech

I. CIEMNA ZASŁONA, MĘTNE ZWIER- CIADŁO

Nie bardzo rozumiem nie bardzo ale przeczuwam
galop kurzu pęd światła spadającą gilotynę
mroku szybkobieżne pociągi atomów zbyt
mrugające oczy bijące serca nieustanne kroki.
Majestatyczna planeta niewzruszone słońce dookoła
muzyka fatamorgany rzeczy zanim przerwę jego
życie pajak jeszcze trwa zasluchany.

Okno

I. CIEMNA ZASŁONA, MĘTNE ZWIERCIADŁO

Dla Jacka

Zaraz za skarpą ogródki działkowe Jesienią
albo którejś z tych słotnych zim (*tak ich wiele*
ostatnio nawiedza moją równinę) widać tylko
odcienie szarości Dalej wyspy blokowisk
Czasami pieści je słońce i wtedy można
patrzeć bez końca Dumna elektrociepłownia
pod wieczór lśni światłami jakby chciała
udowodnić że żyje i oddycha Trochę nijakich
pól a w przejrzyste dni Wisła — cienka
srebrzysta kreska na skraju widzenia
Jeśli warto w ogóle wyglądać to dla
obłoków na wysokim niebie Dla wiatru udowadniającego swe istnienie lekkimi
ruchami drzew Jeśli w ogóle warto —
to dla pracy twoich oczu One mówią:
Nie nasycisz się a twoje okno nie pokazuje
świata Nie zapominaj się

Ciemna zasłona, mętne zwierciadło

I. CIEMNA ZASŁONA, MĘTNE ZWIER- CIADŁO

Dywan liści Jesień Po kostki w zgniliźnie
Dęby stoją wysoko Wysoko Mała mżawka
Krople Mgła Ciemno To tylko jesień Tylko zwykła zmiana sezonów Tylko
zwykła zmiana czasu (*godzina do tyłu albo do przodu Kto pojmuje?*)
Ból po lewej stronie brzucha Cisza Dzieci
na huśtawce Niebo ołowiane ponad mgłą
(*przejaśnienia*) Tu właśnie lecz nie tutaj Gdzie
indziej

Nie gdzie indziej ale właśnie w tym
miejscu W tym czasie W tej mgle Obok tych
dębów Bez rozumienia Z grabkami w dłoni
Zatrzymany

Tu jest tu i nie ma żadnego indziej

Mżawka w deszcz Ciemność w mrok Obecność
w nieobecność Szyba w lustro Twarz w odbicie
(*dźwięk w ciszę kolor w szarość woda w lód*)

Kości w proch

Epigramat sprawozdawczy

I. CIEMNA ZASŁONA, MĘTNE ZWIER- CIADŁO

Nie będę mówił wprost choć mógłbym Ale
po co Nie będę łasił się wyrazem zdaniem
wielokropkiem Nie interesują mnie: barwność
przerzutnie logaedy genetliakony protozeugma
synafie telestychy ekfrazy (*wystarczy?*) Dlatego
kończę Jest świat poza brudnym hotelem Poza płaczem
kochanków Poza labiryntem mowy Choćby zdawało się że
w niej tkwi ostateczność Nie W niej tkwi zadufanie
Jeśli otwierasz usta niech to będzie ostrze Klin
Diament w wiecznej wędrówce po szybie Rysa jak
rana zadana włócznią pod żebro Skarga jak ta
na wzgórzu Tak ma być Jestem obok Nie po
to naciskam klawisz by prosić o litość

Ten, który ilustruje

I. CIEMNA ZASŁONA, MĘTNE ZWIER- CIADŁO

Kiedy dzień przechodzi w wieczór gwiazdy ledwo
widoczne i coraz trudniej podpatrywać bawiące się
dzieci nad stawem łabędzie pływają dostojnie stara
kobieta wraca z działki niesie kosz ciężki aż się
ugina. Winda pracuje z mozołem trzaskają drzwi na korytarzu chłopiec
zbiega ze schodów trzymając książkę coraz głośniejsze krzyki
telewizory i coraz wyraźniej słyszeć wiatr za oknem znikają ludzie z
ulic i smutno smutno w domu. Rośnie fala dźwięków i nagle opada.
ściany odbijają mnie jak piłeczkę pingpongową milcząc już całkiem
ciemno jakbym przestał widzieć rozpoznawać rzeczy już cicho jakbym
stracił uszy. Ten który ilustruje cofa swoją dłoń, lecę spadam.

Hektor

I. CIEMNA ZASŁONA, MĘTNE ZWIER- CIADŁO

Właśnie przestałem uciekać Odwracam się by
stanąć twarzą w twarz z tym prawie nieśmiertelnym
Przegram Już to wiem Już jestem pewien Bezlitosna
kamera portretuje świadectwa mego strachu Drobne
a jednak widoczne Operator wykazał się kunsztem
Więc: lekko zwiędłe usta tik w newralgicznym miejscu
gdzie policzek styka się z okiem (*powiedz krtani i powiedz powiece*)
Brak przecinka tam gdzie powinien być Jest mój miecz
przeciw jego Nie wygram tej walki Stając do niej wiem
tylko że bronię się przed upadkiem Gwizdami upokorzenia
Aplauzem niechęci Tobie który mnie słyszysz mówię: jest coś
więcej niż moje życie Choć przecież je lubię Tak Uwierz
A jeśli nie umiesz — (*powiedz to krtani i powiedz powiece*)
Już teraz Zaraz Już

Ten Years After

I. CIEMNA ZASŁONA, MĘTNE ZWIER- CIADŁO

Znów stoi na tym moście z którego widać
Wysoki Zamek Był tu tak dawno temu (*tak
niedawno*) Wtedy zdawało się: kondotier
gotowy służyć pod jakimkolwiek sztandarem
(*kto pierwszy przybędzie z ofertą ten lepszy*)
Teraz z walkmanem Puską piwa (*Love like a
Man szumi piosenka i głowę owija mu dzwoni*)
Co się stało Cóż się wydarzyło Tych kilka lat
Trochę zrogowaciałego naskórka Strzępki paznokci
pozostawione na dywanach przechodnich pokoi
A teraz jedzie małą kolejką po zboczu
Rozświetlone wzgórze przymila się Słychać
okrzyki zachwyty Brawa I ach, ta radość
O miasto z obcego języka Zaraz za granicą
Wciąż suną nad nim obłoki (*Praga; wszystko
się zmieniło*) Dlaczego w chwili podziwu
nienawidzi siebie Rozpatruje Zapada się
w sobie Niepotrzebnie Przecież wie: należy
pod prysznicem co dzień zmieniać skórę Wy-
larwiać się Zapomnieć że to Mortal Kombat
(małe figurki, skazane) Że nie dano zbyt
wielu możliwości (*A jednak rozczarowanie*)
Ta gwiazda spada jeszcze powtarza w myślach
(*Zamiast ust — zardzewiały zamek błyskawiczny*)

Anamneza

I. CIEMNA ZASŁONA, MĘTNE ZWIER- CIADŁO

Oślepiiony Po omacku zgaduję kształty rzeczy
Jeszcze jedna mokra jesień To na co czekam
nie ziściło się Nie szkodzi Uparcie powtarzam
mantrę izolacji Żyję w niszy W pustelni Przy
zatrutej studni

Ogłuszony W wielkiej ciszy wędruję pamięcią
Na pewno nic się nie skończyło Muszą jeździć
pociągi Pełzać gąsienice Ludzie wciąż mówią
«kocham cię» Miasta szumią obojętne Trwam
zastygły w poście

Oniemiały Jak pusto Czemu taka cena Jej
dłonie zapomniane (*usta już zamknięta*)
To koniec Brak potrzeby Brak uzasadnienia
Boję się Bezruch jest jak robak Nic go nie
Powstrzyma (*Wciąż rosną mi paznokcie*)

Ziemia Piasek Glina

Tren

I. CIEMNA ZASŁONA, MĘTNE ZWIER- CIADŁO

Żegnaj akacjo, siostró. To nasze rozstanie
jest jak daleka podróż do krain nieznanych.
Jak wygląda raj drzew? Nikt w nim nie słyszał
o zębatej stali, deszcz zawsze przychodzi w
porę, słońce łaskawie pieści was ciepłem? A
co ze mną? Jest tam miejsce dla mnie? Byłem
przecież tylko nieuważnym przechodniem.
Zapewne kilka razy dotknąłem cię, chciałbym
wierzyć, że z czułością. Jak mnie widziałaś,
powiedz. Wiem, już za późno. Teraz tylko mogę
wspominać nasze przelotne spotkania. Twój cień,
twoje delikatne liście. Twoją obecność, teraz nagle
zabraną. Wydałem na ciebie wyrok, jak lekarz, który
wie, że inaczej nie można. A jednak nie umie pogodzić
się z tym. Jednak będzie trzeba. Bo dziś ja ciebie żegnam,
a kiedyś brat nasz dąb, ten za oknem, pożegna mnie. Zapewne
też, dajcie im długie piękne życie, pożegna nasze córki. Być
może tak właśnie być powinno. Ktoś to zaprojektował,
wpisał nas w ten porządek. Wszystkich. Mnie i ciebie, siostró.
(jeśli nawet tkwi we mnie bunt to nie ma zapalnika)

I. CIEMNA ZASŁONA, MĘTNE ZWIER- CIADŁO

cieniom N.

Zwierzęta odchodzą Wstępują
w hades mokrej ziemi Żegnane
krzyżowym ruchem łopaty W
potopie z nieba w zapamiętaniu
kopiącego
Nie wszystek umrzemy mówią
ich ciała Dopóki żyć będą pamiętający
A potem kiedy także ich zabraknie
Znikniemy już na zawsze W implozji
grzebiącej drzewa i narody W ciepłej
niecce nicości
Zapadną się słońca i gwiazdy i nadzieja
i miłość Pozostanie tylko powłoka Sucha
skóra węża zjadającego swój ogon

I. CIEMNA ZASŁONA, MĘTNE ZWIER- CIADŁO

Śnieg po kolana Zamieć Z szuflą
w rękach odgarniam biały chaos
A jednak czegoś mi tu brakuje
Pomiędzy manną płatków
tłustych niemalże mięsnych
w zimnej poświacie księżycą
czując pot na karku na plecach
za uszami (*on przywołuje doczesność,
każe pamiętać o teraz*)
Przystaję nagle dotknięty
jakby ta noc miała ręce

I tak bezbronny jak gdyby
pozbawiony skóry Wydany
na łup Zdradzony Choć nie
wiem kto lub co jest zdrajcą
Więc szuflą śnieg zagarniając
Szybciej i szybciej wbrew mięśniom
protestujących bólem Zagłuszając
ból inny Z głębokości Ten który
przypomina że wszystko ma swoje
granice Że ciało można wyćwiczyć
Spinając dziś i zawsze
na moment

Bo śnieg jeśli tylko zechce
pokryje całość zasypie zawieje
I pozostawi nas niemych
Z szuflą bezradną na pokaz

Aporia

I. CIEMNA ZASŁONA, MĘTNE ZWIER- CIADŁO

Inaczej: aversio. Może przyjąć formę napomnienia — admonitio. Otwartej nagany — obiurgatio.

Przestrogi lub groźby — comminatio. Przekleństwa — execratio.

Oskarżeń, będących odpowiedzią

na zarzuty przeciwników — recrimatio. Prośby o przychyłność i pomoc — deprecatio. Zachęty do działań i zachowań — adhortatio.

Odwolania do opinii i osądu słuchaczy — communicatio.

Ujawnienia własnych wahań i rozterek — dubitatio, inaczej aporia właśnie. Usprawiedliwienia własnego stanowiska — praemunitio.

Wyrażenia pragnień — optatio. Złożenia obietnic — pollicitatio.

Wszystko po to, by — tak naprawdę — wykrzyczeć siebie.

A jednak bez sensu — rysa na skórze świata i tak niedostępna.

Epigramat konfesyjny

I. CIEMNA ZASŁONA, MĘTNE ZWIER- CIADŁO

dla Andrzeja

Mowa ma być prosta jak faktura VAT Nabyto zapłacono
i jeszcze ten podatek Owieczka dla smoka Tak tak
Co zwykle bywa najtrudniejsze Więc najpierw monolog
na wietrze A potem długie milczenie Piszę do
Ciebie siedząc przy oknie Błyska samolotu niknie
pozostawiając smugę Dowód obecności Dialog
w radiu lub telewizji: «Koniec świata nastąpi
o 23. 59, 31 grudnia 1999 roku». «Ale według
jakiego czasu? W której strefie czasowej
mieszka Bóg? » Myślę o wyprawie do wnętrza
ziemi skoro już umiemy się od niej odrywać
Znów dopada mnie drzemka Dziś żadnych nowych
lektur żadnych kontemplacji Ach kalectwo rozumu
Banał wyobraźni Jesteśmy wodą czasu Lecz Ty
to wiesz najlepiej.

Elegia na śmierć szczegółów

I. CIEMNA ZASŁONA, MĘTNE ZWIER- CIADŁO

dla D.S

Kto chce mówić mową proroków niech porzuci
zbędne wezwania Niech zamknie oczy i uwierzy
że wszystkie przedmioty zasnęły Niech wezwie
wszystkie siły na swoją obronę Niech pożegna się
ze sztukami Refleksami światła na
krawędzi lustra Ledwie widocznymi
zmarszczkami na twarzy tej która mu sprzyja
Odpryskami lakieru na skórze swojego auta
Niech wybaczy tymczasowość kryształkom soli
i cukru Pajęczynom i zbitkom kurzu Niech
przygryzie język by nie wprawiał się w ruch
Niech nie wierzy w prawdę ściągien i nad —
garstków Kto chce mówić mową proroków musi
liczyć się z tym że się myli I że na nic
poszło jego życie

I. CIEMNA ZASŁONA, MĘTNE ZWIERCIADŁO

Tej nocy przyszło wszystko: ból zarzynanych
zwierząt palonych żywcem ciał dziecięcych
utopiony krzyk pożartych przez tsunami
męczarnie tych co pod kroplówkami
milczenie zasypanych w lawinach rozwarte
oczy samobójców płacz narodzonych
bezdenna nuda starców w domach opieki
Obudzony odkryłeś: jakoś żyjesz
Ale jak sobie poradzić Jak unieść ten ciężar
Dzień staje się wybawieniem Sen. podróżą
do kresu nocy Nie ma ucieczki Nie ma
usprawiedliwienia A jednak jakoś żyjesz
(*Ale na krawędzi Na kurczącym się skrawku*)

Epigramat IV

I. CIEMNA ZASŁONA, MĘTNE ZWIER- CIADŁO

Ostatnia noc października Ćma
nieświadoma końca dobija się
do światła Łopocze u szyby
jak żywy jeszcze liść To nie
światło to ekran komputera
Nie ona jedna się myli

Second hand

I. CIEMNA ZASŁONA, MĘTNE ZWIER- CIADŁO

Drugą ręką szamocząc się
nieudolnie przyszywam
guzik Ostre światło razi
mnie Mam wrażenie że
to już było Wielka
kserokopiarka pracuje
bez wytchnienia

Invisible Mr. Hyde

I. CIEMNA ZASŁONA, MĘTNE ZWIERCIADŁO

Dla Darka

Właściwie już nie mieszkam tu Odszedłem
Odwróciłem się Czasem tylko spotykam siebie
tamtego na ulicy Zazwyczaj wtedy biegnie:
spóźniony umówiony Przyglądam się sobie z
rozbawieniem Być niewidzialnym to spora
uciecha Lubię wracać nocą Kiedy tamten ja
zasypia siadam na progu łóżka Przyglądam
się Wtedy jemu śni się anioł o przezroczystych
skrzydłach Biedny Kiedy zamykam oczy on we
śnie leci Lekki swobodny I tak to wygląda
Ja jestem Nikt On już blisko mnie Kiedy
chwytą kartkę otwierają mi się rany na
dłoniach To nie boli Jestem wyrozumiały
i cierpliwy Zazdroszczę mu niewiedzy
Podziwiam jego nadzieję

JAROSŁAW KLEJNOCKI, JAROSŁAW KLEJNOCKI, JAROSŁAW KLEJNOCKI,
JAROSŁAW KLEJNOCKI, JAROSŁAW KLEJNOCKI, JAROSŁAW KLEJNOCKI,
JAROSŁAW KLEJNOCKI, JAROSŁAW KLEJNOCKI, JAROSŁAW KLEJNOCKI,
JAROSŁAW KLEJNOCKI, JAROSŁAW KLEJNOCKI, JAROSŁAW KLEJNOCKI,
JAROSŁAW KLEJNOCKI, JAROSŁAW KLEJNOCKI, JAROSŁAW KLEJNOCKI,
JAROSŁAW KLEJNOCKI, JAROSŁAW KLEJNOCKI, JAROSŁAW KLEJNOCKI,
JAROSŁAW KLEJNOCKI, JAROSŁAW KLEJNOCKI, JAROSŁAW KLEJNOCKI,
JAROSŁAW KLEJNOCKI, JAROSŁAW KLEJNOCKI, JAROSŁAW KLEJNOCKI,
JAROSŁAW KLEJNOCKI, JAROSŁAW KLEJNOCKI, JAROSŁAW KLEJNOCKI,
JAROSŁAW KLEJNOCKI, JAROSŁAW KLEJNOCKI, JAROSŁAW KLEJNOCKI,
JAROSŁAW KLEJNOCKI, JAROSŁAW KLEJNOCKI, JAROSŁAW KLEJNOCKI,
JAROSŁAW KLEJNOCKI, JAROSŁAW KLEJNOCKI, JAROSŁAW KLEJNOCKI,
JAROSŁAW KLEJNOCKI, JAROSŁAW KLEJNOCKI, JAROSŁAW KLEJNOCKI

II. Zaprzysiężony

Zaprzysiężony

II. ZAPRZYSIĘŻONY

Kasi

Prowadzę cię za rękę przez ten dziwny tunel
zegarki fosforyzują ponad ustami para małe
krople skapują na nasze ciemne twarze trzymam
cię mocno mocno a tam nasze miasto świeci
jak jubileuszowy tort.

Zobacz szepczę cicho choć śpisz i tak nie
słyszysz mój wskazujący palec dotyka twoich rzęs
cóż mogę coż ja mogę znowu nadejdzie świt
zamkniemy się w swych ciałach na jeszcze jeden
dzień. Smutne pąki osamotnione rośliny.

Prowadzę cię za rękę i zbyt się może boję zbyt
rzadko odwracam głowę choć przecież mi nie
znikniesz wybac tak szybko płyną rzeki taki
kruchy pada śnieg i co za siła tkwi w mięśniach
rozszerzających powietrze coż za rozmarzona
niebieskość żegluję ponad nami.

Spojrzenie, znaki

II. ZAPRZYSIĘŻONY

Kasi

Oglądam zdjęcia z wyprawy zwłaszcza tę
jedną fotografię patrzy z niej piękna
kobieca twarz ilu spojrzysz powie coś
za szkoda że nigdy nie spotkały się nasze drogi
ręce nasze nigdy nie dotarły do siebie.

Za jej głową rozmazane oddalenie ale
widać błysk okien pysk samochodu gałąź
jak bukiet elipsę słomkowego kapelusza
przestrzeń placu senną pustkę popołudnia.

Co chcesz mi powiedzieć choć twoje rozchylone
usta właśnie łamią swój zwykły kształt jakbyś
zrezygnowała z mowy ale oczy uważne
wiedzą więcej niż dojrzą w nich wiedzy.

Przepowiadasz mój los a jeśli tak
jakie chmury jakie słońce jaka droga
ile gorczy ile uśmiechów ile snu
zbyt niespokojnego dla odpoczynku ile
ile jak jak pytania milczenie pytania.

Epigramat urodzinowy

II. ZAPRZYSIĘŻONY

Kasi

Mapa światła na ścianie. Delta pękającego tynku.
Rozgrzana do czerwoności fajka prawie jak wieczny
ognik. Tak, to jest sprzysiężenie. Tajne i
wymowne. Tak, to jest łódź szaleńców na wezbranej
wodzie. Tak, to jest kolec pod skórą, to jest
kompres na czole. To jest pierzyna obłoków nad
naszym małym światem. Mieszkamy w kropli wody,
nie mamy nawet pieca. Mamy za to szafę na nasze
ciemne troski. Nie jest ich zbyt wiele, lecz
jakieś przecież są. Nasz dom — na kurzej nóżce
czasu. Nasz śmiech — naprzeciw dniom.

*Vermeer maluje**

II. ZAPRZYSIĘŻONY

Kasi

Ach jakże zazdrościsz twoje przyjaciółki
sam pan Vermeer maluje cię w jasnej pracowni
pełnej dziwnych sprzętów więc znosisz niewygody:
tyle godzin w tej samej pozie pod ogromną mapą
siedemnastu prowincji w milczeniu z fanfarą ciężką
książką i uwierającym wieńcem na skroni. Żałujesz
tylko że nie pozwolą ci zatrzymać tej pięknej
szaty z błękitu ale nie martw się jest już
twoja na zawsze aż do końca świata.

I już miliony oczu będą patrzeć na ciebie
w zachwycie obojętnie z roztargnieniem w
zniecierpliwieniu z tęsknotą miłością. Jeszcze
o tym nie wiesz lecz przecież przecież przeczuwasz
przymknąwszy nieśmiało oczy zdziwiona dziewczynko.

Cóż za spokój cóż za niewinność choć tyle
nadejdzie słyszę huczące maszyny łoskot
wybuchów widzę otwarte do krzyku usta eksplodują
wzgórza kosmos oddala się coraz bardziej rozpadają
się kraje płonie mapa ginie gdzieś pamięć czernieją płótna.

Ale ciebie nie dotyka zimno jesteś wolna więc jaka
zazdrość jakie zachwycenie. Vermeer maluje; chrząści
piasek w trybach zegarów.

II. ZAPRZYSIĘŻONY

dla K. znów
160 km/h W każdej sekundzie za
pan brat z katastrofą Cmentarz
owadów na szybie Magia reflektorów
Jak w otwarciu stoi przestrzeń Czasem
obce czerwone iskry obecności Rzadko
przesunie się cień Ona drzemie na
przednim siedzeniu Przykuta pasem
osłonięta snem Wiozę sen rozproszony
jak w narkozie Wiozę zatrzymaną myśl
Wiozę miłość w letargu Wiozę
nieistnienie Wielkie światła
miast za nami przed nami Na
razie zanim wszędzie księżyc
jeszcze wciąż ciemno

Podróż

Sen

*Nusfjord, lofoty — atlantyk za pro-
giem*

II. ZAPRZYSIĘŻONY

Kasi

Jedyna knajpa w mieście. Stare przeboje Dire Straits.
Woda jest tu jak czas — zbiera się w sobie jakby
chciała wejść do domów ostatecznie i nieodwołalnie
Gdzie kończy się radość a gdzie zaczyna? Jedyne czego
na razie nie utraciłem to sztuka zapamiętywania
szczegółów. *(Dla ciebie wszystko dla ciebie czy
umiesz to docenić)*. Klótnia na skraju drogi. Kamyki
rzucane w ciemność. Kłopoty z precyzją kłopoty z
dotarciem. Pielęgnowujemy swą odmiennność. Krew tężeje
wbrew widokom. *(Gdziekolwiek rzuci nami wracamy do
tego co pozostawione)*. Zatoka otacza nas. Szczyty
wprost z morza. *(Stoimy u zwieńczenia)*. Oto dno
raju. W saku. W oblężeniu. Słońce schodzi ku granicy.
Więzienie skąpych traw. Bardzo samotne kutry.
Wreszcie: otwarcie. *(I żywy stąd nie wyjdzie nikt)*.

Beatrycze

II. ZAPRZYSIĘŻONY

Kasi

Jest wyśnioną a jednak cielesną
Stąpa po ziemi ale z głową w niebie
Z atomów jej kibić z eterii spojrzenie
Czołem pod chmurami piętą w piachu
Rozdwojona? Nieprawda! Z dwóch wrogich
pierwiastków złożona na przekór Dopelnienie
przeciwności Zgoda sprzecznych żywiołów
Bractwo ognia i wody Węgla i pary
Zanim zamkną się odrzwia uśmiecha się

Z tym uśmiechem w pamięci chciałby pójść dalej
Wszelako na rozstajach Na lewo bądź w prawo Bez
przewodnika Pani moja Duszycko Skóro bez skazy
Piersi mleczna nabrzmiała Chwilo rąk spotkania na
łożu boleści kiedy dziecko wychyla głowę ku nicości
Ty pod maską tlenową fanfary fanfary KTG jak asdic
USG niczym sonar Wtedy razem Jak taran Jakby wejście
zrzuciło swój okrutny napis (*by porzucić nadzieję*)

(*Nie wstąpię samotnie w zimne Niebo?*)

Droga na Zamek Ujazdowski

II. ZAPRZYSIĘŻONY

Kasi

W taksówce Korek Neony za mokrą szybą
Kolory walczą z szarością i doprawdy nie
wiadomo kto tu jest zwycięzcą Patrę na
ocalałe z zagłady kamienice Żywnego
Puławska Plac Unii Lubelskiej Tyle zamarłej
śmierci w piwnicach Tyle gruzu pod
fundamentami (*żyjemy szybciej niż jadą
samochody*) Wtorkowe popołudnie Azyl
tymczasowości Moja ukochana ślęczy nad
komputerem A ja oddaję się grzecznym
rozmowom o niczym i o wszystkim
Niewiele z tego wyniknie Tymczasem
patrzę (*Lubisz patrzeć Cały jesteś wzrokiem*)
Moja ukochana bawi w innych miejscach
Wrócimy do siebie wieczorem
Późnym wieczorem kiedy smukłe kolumny
dymu z elektrociepłowni rosną na przekór
depresji rozciągającej się nad krajem Krajem
spełnienia i nie zrealizowanych marzeń
Ranna godzina przyniesie nam pośpiech
Dobrotliwy azyl (*Żyjemy na bezdrożach*)
W gazecie znajdujemy uspakajające
pozory A potem już tylko metro Sterylne czyste
metro jak nie z tego świata Tyle nadziei w
zamkniętych korytarzach Tyle rozpaczy
w pędzących wagonach

Plac Unii

II. ZAPRZYSIĘŻONY

Kasi

Znów to ulubione miejsce Małe wieżowce które
mogłyby stać na peryferyjnych ulicach Manhattanu
To ten niewielki stary świat I my w nim pomniejszeni
jak w trzeciorzędnym komiksie W zaintrygowaniu
szczęśliwi Niech i tak będzie Goniąc za spełnieniem
w każdym z gestów W każdej chwili gotowi na
skinienie losu

Moja ukochana stąpa na palcach pośród żarzących się
węgli Ona wie jak zaskarbić sobie życzliwość ludzi
bogów i zwierząt Ona wie Kroczy pewnie wśród mgieł
Idzie przez ciemny pokój Wiedzie ją instynkt Niewidoczna
pewna dłoń

A teraz ten plac Samochody suną ku nieznanym lądowiskom
Wszyscy zapętleni znają swój cel Każdy niepewny przystaje
na rozstajach

(A on tylko patrzy: niskie chmury przysiadają na gniazdach
gzymśów Mżawka całunem opatula strychy Intrygują go wielkie
budowy Światła dźwigów ruch niewidoczne pieniądze i ludzki
pot przemieniony w konstrukcje pełne żelaza stali i nadziei
On sam nie bardzo wie co ma z sobą począć jak począć siebie
Czerwono-żółte tramwaje mijają się na zakręcie W Supersamie
nie milknie gwar i czyjeś usta właśnie otwierają się na spotkanie
kolejnego hamburgera)

Moja ukochana rozumie więcej niż ja Nie dba i nie ufa-
oto jej doktryna Nie zadaje pytań I nie szuka przyczyn
Dostrzega piękno i pomija małość Dzwony grają na jej
Chwałę

Plac Unii Ale unie zostały zerwane Teraz: domy ruszają
po okręgu ronda Węc w środku karuzeli W oku ruletki
(*Bez złudzeń*) Moja gwiazda wciąż wiruje

Bastion

II. ZAPRZYSIĘŻONY

Stadko gołębi nad działkami przelotny uśmiech autobusu kurz wirujący w snopie światła gwóźdź co napina sztuczne mięśnie niepewna ostrość przewidzenia niepewna zgoda i wahanie poszukiwanie w kartotekach tych znanych twarzy co już zawsze zaludniać będą tylko fiszki i przedpołudnie mokre krótkie kiedy powiedzieliście sobie więcej niż mogła unieść wasza zdrada, już widać zgubny wał ulicy, tam ostateczne padło słowo tam pierwszy raz poczułeś winę jasną jak neon ponad głową, wciąż jeszcze mieszka pod powieką, trwalszy niż twierdza chmur niż kropla, a przecież tyle przeszło godzin i tyle niewidocznych śmierci otarło się o twoje włosy a ty wciąż widzisz patrzysz patrzysz; gołębie w wirującym skręcie autobus machający drzwiami, to na pamiątkę pożegnanie i światło głodnie szukające ten gwóźdź sekundę przed upadkiem tamto spotkanie tamta chwila jak koniec świata kres bez granic przeczcucie ciężkie barwa szczególnie paznokcie wbite w skórę brzeszczot na nowe mgnienie czyhający i twoja ufność w niespełnienie i twoja radość bez oddechu. Tyle się jeszcze stanie.

Migoce i błyska

II. ZAPRZYSIĘŻONY

Zdradliwy prąd żarówka gaśnie pod naporem nieznanych elektrycznych wichrów cienie rosna rosna jadowicie na przygaszonej pastelowej ścianie. Jakby w zastępstwie tuż ponad drzewami eksplozja gromu i strzały błyskawic. W lustrze dostrzegam przez sekundę twarz. Ponowne spięcie a w jego trwaniu jak na dłoni kraj: wieże pałaców krzyże kościołów i smutny pies obok krzaku bzu. A potem tylko ciemna lampa porozkładane książki listy nagle kanty ostrych barw. Znowu wybucha światło: w jego blasku twarze ulice morza kontynenty świat.

Biblioteka, dziewiąta rano

II. ZAPRZYSIĘŻONY

Drzemiące koralowce książek dystyngowane mlaskanie kserografu wibrują ciała kamertonny mięśni pochylone żagle głów a tam miasto rogata dusza inne światy radio gra z oddali kobieta zamyka okno.

Melancholio ciszy gdzie twoja ojczyzna — w moim wzroku w literze w zastygnięciu gołąb przekrzywia łebek ogląda nas z zewnątrz rozbawiony dziewczyna poprawia warkocz nie wiadomo czemu patrzymy na siebie.

Jesteśmy tutaj, wiem, jednak moja ręka sięga ku dalekim łądom sennie rozpięty dotykam krawędzi Apalachów kartki atlasu szeleszcza jak ostry na wietrze i czas chyba stoi chociaż biegną wskazówki jeziora skrzą się lasy dymią o świetle z małego dworca rusza parowóz z chrzęstem pracują maszyny prędkie kroki gesty prośby skargi bólu wszystko to jest, tak, nieuniknione czeka napręża mięśnie.

Przez sen

II. ZAPRZYSIĘŻONY

Gdańsk: już raz tu umierałem któregoś
pierwszego września na ławce pod pomnikiem
młodzi żołnierze o świcie sprząтали tablicę
i znicze a ja umierałem na tym wąskim cyplu
otoczony przez puste butelki zeppelinów gazet
przebudzony w nagłym świcie wiatru oddalony.
Prom buczał w kanale kino Leningrad grało
«Czas Apokalipsy» Długi Targ pobrzmiwał
«Whole lotta love» z otwartego okna na
piętrze. Ale sen trwał: szły karne bataliony
łopotąła flaga nad stoczną siny dym niósł
okrzyki nad tłumem i mały Oskar przeraźliwie
krzyczał szyby pękały żydowskie dziecko
znikało w tunelu. Było gorąco parzył piasek
na plaży brakowało tchu samoloty wisiały
sennie na niebie. To tylko historia mówiłem
sobie tylko historia przechodzi przez moje
ciało jak dreszcz nienawykłe ciało jak gorączka
majak jak bagnet tylko słowa wdzierają się w
sen tylko pragnienie rodzi tę suchość w gardle
tylko stalówka skrzypi gdy przyszło pisać list.

Florencja, 21.06.1527

II. ZAPRZYSIĘŻONY

Moja gwiazda przecina ciemność sekundowym
lotem. Spisuję ostatnie rady dla ciebie
Książę. W istocie pogardzam tobą tak jak
ty mną choć to ja zostanę a ty przeminiesz
zostanę choćby za cenę przekleństw i z
laurem hańby na twardych skroniach.

Moja ironia wynika z wiedzy zamieniłbym
ją natychmiast na wiarę nadzieję miłość.
Znów mi nie wierzysz widzisz tylko dłoń
sięgającą do skarbca ale o tak moją religią
jest prakseologia głoszę ją nie wierząc
tęsknię za czymś innym lecz już za późno.

Żegnam cię Książę który jesteś być może
istnieją piękno i dobro ja zostawiam
ci zapis twych szaleństw możesz je nazwać
metodą. Nawet teraz nudzisz mnie zawsze
niedouczone zapominający a przecież
płonęły stosy leciały głowy ostrzono noże.

Wiem sam przygotowywałem swój upadek
moje Miasto wyгнаło mnie ale wybaczyłem
kreśliłem twoje prawa pamiętając że ziemia
nie jest podległa lekceważyłem wszystko
co budziło mój podziw ale wobec lustra
zrzuciłem maskę. Być może Bóg to widział.

II. ZAPRZYSIĘŻONY

*dla***; oczywiście*

Rzymu nie ma jest popiół jest
książka cieniutka małe życie jest
prośba jest słaba modlitwa
i wytchnienia też nie ma jest
kwiatek w doniczce jest kaszel
paznokieć niebieski i nitka jest
obłok nad lasem jest szklanka
pęknięta jest ach Rzym niewzruszony
co rośnie pomału a popiół pochłania
twoje zwinne ciało.

Epigramat pokorny

II. ZAPRZYSIĘŻONY

Panu Adamowi Zagajewskiemu

Jak stary bocian znoszę resztki
żdźbło słomy kawałek paznokcia
zwiędły fragment skóry Ale też
jakieś grafomańskie skrawki Ostatnie
minuty snów pierwsze sekundy świtu
Wszystkie sprzeczki (*stoję bezradny
wobec uzasadnionych zarzutów*)
Chwile niepewności (*wtedy twardnieje
język czernieje podniebienie*) Z nich
buduję Bramę ostatni Przyczólek
(*zaprawdę jesteśmy gośćmi
kruche apartamenty*) Piruety
na mokradłach Słalomy po
falochronie (*wiatr wiatr*)
Uginam się aby zwyciężyć

Splügen, stacja benzynowa

II. ZAPRZYSIĘŻONY

Jerzemu Sosnowskiemu

Nieprawda, można zapomnieć. Nie trzeba się łudzić
Nad naszymi głowami mgły biorą w posiadanie ostre
stoki, źleby i tę małą wysepkę szkła, jarzeniówek,
neonów. Czerwień zachodu i granat wieczoru. Obojętność
zmotoryzowanych wędrowców, obojętność naszych spojrzeń.

Cicha przełęcz, cichy las. Światła w dole, światła
w górze. Milczymy, patrząc jak to puste piękno
obejmuje nas przerażająco delikatnie. Wszystko
co będzie uśmiecha się do nas: kpiąco, litościwie,
wrozumiale.

Możesz zapomnieć, tak naprawdę niewiele trzeba: zawrzyj
aksamitne małżeństwo ze światem, codziennie dotykaj
sprzętów, nie myśl o ogniu, wystrzegaj się płomienia,
zanurzaj dłonie w ziemi, zamykaj drzwi za sobą.

Allenstein, pochmurno

II. ZAPRZYSIĘŻONY

W dniu w którym umarł Babcia opowiadała nam
o mieście ich dzieciństwa To był bardzo ważny
dzień kiedy poszli pierwszy raz ze sobą Jej ojciec
ubrany odświętnie udał się popołudniem na
odczyt A oni czmychnęli i tyle Wracając
zobaczyli tego ważnego jegomościa «Literata»
jak powiadał smakując słowo Ojciec Taki był
niepozorny a wszyscy wokół uniżeni «Małe
miasto, mali ludzie» parskał Ojciec Jej Matka
mówiła że pokłócił się z tym Panem Podobno
krzyczał że artysta powinien być zawsze z
krzywdzonymi a nie zajmować się próżnym
pięknoduchostwem Sala nie zgadzała się
«Mówi pan do Thomasa Manna, panie aptekarzu»
napominał podobno dyrektor gimnazjum
Babcia i Dziadek słuchali jednym uchem
Martwili się że nadchodzi deszcz i że nie pójda
tak szybko nad rzekę w ulubione miejsce
Nadchodził nie tylko deszcz Chmurzyło się
wszędzie «Byliśmy młodzi, cóż nas obchodziło?»
wzdychała Babcia gdyśmy pytali «Wszyscy żyjemy
w cieniu» Przez szparę w drzwiach podglądaliśmy
jak zapala świecę przy zmarłym

Jidisz

II. ZAPRZYSIĘŻONY

Pokolenia umarłe Koniec języka Clenie
Cóż mógłbym Wam rzec Śmierć słów to
śmierć świata Jak zdmuchnięty dmuchawiec
świeczka na torcie Albo raczej płomień na
zniczu Pustka wibrująca w miejscach opuszczonych
Stawki Plac Kasińskich kawałki Jana Pawła II
Miasto na gruzach i grobach — tyle o tym pisano
Ale przeczuwam że jestem jednym z ostatnich
któremu brakuje Który jeszcze pamięta choć
nie swoją pamięcią Który jeszcze czci ale poza
religią

Epigramat na skraju

II. ZAPRZYSIĘŻONY

Ten chłopiec zatrzymujący kolumnę czołgów
Przez chwilę duma i wzruszenie Potem
kasacja wyobraźni — cóż mogłoby się
z nim stać Tamten wieczór przed telewizorem
(*dawno temu*) Nagły skok zmiana dekoracji
Słucham cierpliwie Ci wszyscy prorocy
bioenergoterapeuci Szaleństwo monologów
Jest misja (*sznur konopny wisząca drabina*)
Prostoduszność zdumienie. «Tak nie miało być».
Ale jest Na przekór (*histeryczne proszki*)
Jest kruczata Odkładam długopis Pierwszy
krok (*civitas; mgielna republika*) Zaczynam
Uzbrajam się Jestem gotów (*jestem połową
tego którym byłem niegdys*)

Wyznanie

II. ZAPRZYSIĘŻONY

Po latach zmagani poddaję się
Wracam do mojego Mistrza z
dzieciństwa z młodości On nauczał
by iść wyprostowanym wśród tych
co na kolanach by powtarzać wielkie
słowa Teraz na tej pustyni w kakofonii
dźwięków nie ma to znaczenia Nic nie
ma znaczenia bo wszystko ma znaczenie
Wszyscy mówią Już można i wolno I wszyscy
nie słuchają słuchając

II. ZAPRZYSIĘŻONY

Karmię tę katastrofę własną krwią Podsycam jej gasnący
płomień Daję jej się żywić na moich jelitach Pielęgnuję
tego wirusa pasożyta gnidę Przykrywam twarz kawalkiem
postrzępionego materiału Co myślę nocą gdy zamykam oczy
Co mieszka w mojej głowie gdy prowadzę samochód dociskając
pedał gazu do oporu Kim byłem trzydzieści lat temu Nie wiesz i
nie chciałabyś wiedzieć

Oda św. Hieronima

II. ZAPRZYSIĘŻONY

Dla Marka

Moja mała ziemio Tyle cię pod stopami
(*Tak niewiele Zbyt wiele*) Gasną ostatnie
latarnie Teraz tylko ciemność Jadowita
Kuszająca (*a jednak a jednak*) Moja mała
ziemio Nic nie wiesz Niczego nie słyszysz
Suniesz po srebrnej obręczy Tak bardzo
obojętna Tak bardzo wymarzona Śnią o
Tobie żeglarze Smukli astronauta Pielgrzymi
przemysławiają poranione stopy Moja mała
Ziemio (*Moje niebo*) Mój grobie

Stary człowiek płacze

II. ZAPRZYSIĘŻONY

Iść za miłością Taką która wybucha wodorowym grzybem
Wznosi i powala trony Iść za miłością która tka nieprzerwaną
nić jak jedwabnik Wykuwa złote detale Staje gdy trzeba przeciwko
całemu światu Żadnych kalkulacji Jest tak albo tak Iść za nią jakby
wchodziło się w ogień (*Wstrugę wodospadu*)
Ach Zapomnieć o wszystkich uwikłaniach Narodzić się na nowo
Wstąpić
znów na ścieżkę życia Banalne sentymenty
Ale on już wie Będzie żałować ten który przeoczy Tymczasem mija
całujących się Uśmiecha się do nich Płacze nad sobą
(czytał, *och czytał Śliczną dziewczynę Hłaski*)

Przed

II. ZAPRZYSIĘŻONY

Przyptyw. Ocean ciężki jak rtęć podchodzi
pod nasze mieszkanie. Plusk dokładnie pod
podłogą. Trochę niepokoju trochę ciekawości.
Chmury śmiało wkraczają do Zatoki. Wiedzie je
Apollo lekko stąpając po wodzie. Telewizor
grzmi. Jean Claude Van Damme wygrywa kolejne
starcie Ona zasypia. Obudzisz mnie (*pyta*).
Tak (*mówię*) oczywiście. (*Nie. Będziemy
śpać do końca Jak zabici.*)

Scenariusz

II. ZAPRZYSIĘŻONY

(*Kurwa*) Nigdy nie było żadnego scenariusza Przyszedłem
nieproszony i niepytany (*niezapytany*) Nie miałem
planu pomysłu idei Niczego nie miałem Poza surowym
mięsem wokół kości A poza tym zwyczajnie: działało się
Szedłem Potykałem się Żaden z was nie był mi obojętny
(*w każdym razie starałem się*) Trochę pionek Trochę liść
na wietrze
A teraz śni mi się Procedura (*kafkowskie fantazje*)
Po przebudzeniu nie umiem powtórzyć przywołać zobrazować
Wszędzie Procedura rules I nie ma żadnego brejkania jak pisał
niegdyś ostatni polski poeta narodowy Rules rządzą i kto nie ma
scenariusza ten frajer (*Tomasz Burek, oderwany od ziemi może
i napisze o tym esej ale generalnie kaszana*) Co dedykować wypada
reliktowym idealistom

Redukcja

II. ZAPRZYSIĘŻONY

Tyle powiedzieć Rozsupłać język rozwinąć ten czerwony
chodnik Popłynąć Przywołać kolory widoki sny i wyobrażenia
Opowiedzieć Co opowiedzieć? Może historię zbliżeń
i oddaleń Wskrzesić zmarłych Unieśmiertelnić żyjących
Nasaczyć barwami gotowy szablon Opisać plastycznie krajobrazy
Ach i uruchomić wizję by działał się jak film Ruchome obrazy
Pejzaże (czerwień buków, ziębnę światłość traw, malachit wód)
Ale nie Wciskam to wszystko w lejek Przesączam
przez filtr Bibułę Jakbym parzył kawę dla gości ze Wschodu
Grzecznych Czekających aż napar skondensuje się
Tak tworzę ten destylat Kiedy będzie gotów spojrzę weni
W tę taflę jak lustro by zobaczyć siebie Każdą zmarszczkę na
twarzy Każdy siwy włos Zwierciadło powiada żebym się nie
ludził Ono tylko odbija

II. ZAPRZYSIĘŻONY

Skomplikuj się Teraz Natychmiast Prostota nie jest cnotą
(krytykom środkowy palec czytającym pozdrowienie) W
każdym odbiciu ziarnko prawdy Słowa na wysypisku ale to
też słowa Coś znaczą Choć z upływem lat coraz mniej Mniej
Rany zadrapania po przejściu przez chaszcze
Bliżej
Znikną znikną Ból przejdzie Co zostanie? Nic?
Jeśli blizny oddamy Jeśli opuścimy ten przyczółek
Jeśli wycofamy się jak pobita armia osierocona w
dolinie — to co po nas zostanie będzie jak szrot
Cmentarz kształtów Poza tym skowyt Wycie

Rozbrojony

II. ZAPRZYSIĘŻONY

Zero agresji mówi ojciec
Michał Ziolo polski mnich
trapista Cudem ocalał Jego
towarzysze zakonnicy kontemplacyjni
z klasztoru w Tibhirine (*Algieria*)
zostali uprowadzeni i zabici
przez muzułmańskich ekstremistów
(*albo regularną armię: nieznane są
szczegóły zdarzeń*)

Ojciec Ziolo ocalał bo musiał wrócić do
Polski do kraju po wizę (*błogosławieństwo
biurokracji*) Teraz żyje we Francji Uprawia
ogród grabi liście Pytany «dlaczego?» odpowiada
«Nie wiem*» Także na zapytanie czemu służą (*lub lepiej:
po co są*) mnisi

Nie wiem nie wiem wciąż mówi Ładna odpowiedź
Chcielibyśmy wszakże wiedzieć jakie są skutki przyczyny
i efekty Ojciec Ziolo oraz inni mnisi uśmiechają się tylko i
milczą «Rozbrój się» nawołuje zakonnik. Opuść gardę Tak
Być jak baranek przed lwem Ofiara przed katem

JAROSŁAW KLEJNOCKI, JAROSŁAW KLEJNOCKI, JAROSŁAW
KLEJNOCKI, JAROSŁAW KLEJNOCKI, JAROSŁAW KLEJNOCKI,
JAROSŁAW KLEJNOCKI, JAROSŁAW KLEJNOCKI, JAROSŁAW
KLEJNOCKI, JAROSŁAW KLEJNOCKI, JAROSŁAW KLEJNOCKI,
JAROSŁAW KLEJNOCKI, JAROSŁAW KLEJNOCKI, JAROSŁAW
KLEJNOCKI, JAROSŁAW KLEJNOCKI

III. Twój ojciec

Dziecko na wietrze

III. TWÓJ OJCIEC

Podglądamy Cię na ekranie ultrasonografu
Twoje serce Słyszymy je Rośniesz I my
rośniemy Na przekór temu miejscu które
lubi nie oszczędzać niczego i nikogo
Potem wychodzimy na zewnątrz Jest
słonecznie ale wieje wiatr Jesteś
dzieckiem na wietrze To trochę tak jak
my Koło zwolna zaczyna się poruszać
Wielka dłoń powoli ustawia klocki
Buduje dom Wieżę Fałduje kształty
Kajetan albo Klementyna To się
dopiero rozstrzygnie Teraz tylko
witamy Cię Pamiętaj —
nad tą bramą w którą właśnie wchodzisz
nie widnieje napis: Lasciate ogni speranza

III. TWÓJ OJCIEC

Już nie wrócę do domu Ojca Żadnej rozmowy
nie odbędziemy O nic się nie pokłócimy Nie
wypijemy ani herbaty ani wina Nie obgadamy
Matki Nie podzielimy chlebem

A jednak wracam do domu Ojca mego Na tę
kwaterę na zimnym Bródnie Z płomieniem
wracam Ścierpnięty W strugach deszczu Nigdy
jeszcze tak nie szedłem Nie padnę na kolana
Będę stał w półmroku Oświetlony marną
żarówką ze starej latarni Takie to światło

Sceny z historii rodzinnej

III. TWÓJ OJCIEC

Matka, ta obca kobieta Czuła i zjmna: «Mogłabym mieć,
i nawet chciałam, drugie dziecko. Starsze wychowywałoby
młodszą he, be»

Siedzi przy świątecznym stole, gdy to mówi. Ma ponad
siedemdziesiąt lat choć nie wygląda. Ja prawie pięćdziesiąt
i też nie wyglądam. Ona nie wie, że ja to słyszę.

«Czy ty się czymś martwisz?» pyta ciotka, siostra matki. Zobaczyła
jak stoję u okna, patrząc w dal. Zaraz, tuż za blokiem ohydne ogródki
działkowe (*jest ciepła zima i cały ten śmietnik tkwi na wierzchu, zanim
przykryje go, daj Boże, śnieg*). A dalej wielkie światła handlowych
centrów: Blue Gty z jaśniejącym neonem na kopule podobnej do Piotra i Pawła w Rzymie
(*obracające się literki «Wesołych Świąt»*), Reduta z czerwonym napisem (*porucznik Ordon
przechadza się po jej korytarzach, ale nikt go nie dostrzega*).

«Nie, Danusiu, tak się tylko zamyśliłem^ Kłamstwo goni kłamstwo. Niczego sobie wprost
nie mówimy. Ciotka myślami mieszka w Stanach, z których ją wygnano (*nie zadbała
o właściwe dokumenty i po latach decyzja o deportacji*) Jej córka nie wie (*a może wie?*) jak
źle z nią jest Dzwoni do niej dwa razy w tygodniu, ale to za mało.

Zawsze za mało. Banały. Neony lśnią intensywnym blaskiem. W ich świetle nasze cienie
szare, zanikające.

Już czekam

III. TWÓJ OJCIEC

Klementynie

Już czekam na Ciebie z wierszem Mam go
zamiast kwiatów Mam dla Ciebie kwiat piękny
a także bolesny Jego kolce ostre żeby przypominać
jak wyboista jest droga i mało nadziei Ale jest coś
jeszcze Będą dni spacerów Wypraw w gęstwę lasu
Pogonie wokół drzewa i baśnie czytane raz i raz
aż oczy zmrużą się do snu Co nastąpi dalej mieszka
za widnokretem Pręży się i czeka na swój ciemny
czas Wielkie sprawy nadchodzą Powoli jak żółw
ociężałe Jeśli wierzyć Carverowi poecie obcego
języka szczęście objawia się samo Znienacka
Trzeba być tylko gotowym na jego przyjęcie
To piękna bajka Daję Ci ją z wierszem
(widzę jak tańczysz w drobinkach kurzu)

Psalm IV

III. TWÓJ OJCIEC

Pada deszcz i nasz ogród moknie
W taki dzień dobrze się śpi więc
śpisz a twój sen wypełnia pokoje
jak mgła

My zaś patrzymy z góry na Twoją
małą głowę I wtedy już wiemy że
tak właśnie On patrzył na nas tam
gdzie lew spoczywa obok baranka

A skoro nie ma już edenu to Ty
poniesiesz go w sobie po drogach
wygnania Zanim otworzysz oczy
otoczy nas ogród Jakbyśmy jeszcze
nie poznali wstydu i nigdy nie miał
błysnąć miecz archaniola

Psalm V

III. TWÓJ OJCIEC

Nigdy nie zobaczysz jak Twój ojciec płacze
Nie usłyszysz płaczu Twojej matki

Będziemy chować się w mysich dziurach
Będziemy rozwieszać sztandary radości

Wszystkie rany skrzętnie ukryte
Wszystkie łzy wysuszone

Po to byś była gotowa
Po to byś umiała upadać

Bornholm, wakacje poza czasem

III. TWÓJ OJCIEC

Morze tu nie jest tak aroganckie jak oceany My
nie znamy siły oceanów Ale siła wód jest nam
znana Rzeki w przyborze potopne równinom
Zalane ostrowia pełne sytych domów Talerze
satelitarne na poziomie fal Wiadomości w
nigdy nieśpiących telewizjach Dłonie obejmujące
głowę

Morze to atlas w nieustannym ruchu Dziecko na
brzegu stopy zanurzone Dalej hen głęboko rozmaite
bestie W głębinach życie kłębi się i trwa

Na plaży spokój Inna woda orzeźwienia Rodzina
moczy nogi Puste ciągi plaż Bornholm Ta wyspa
samotności otwiera się i zaprasza Mówi: jesteś
u siebie skądkolwiek byś przybył Zawsze będziesz
pamiętał i tęsknił Bo tu znalazłeś to coś utracił:
wyzwolenie z konkretności z identyfikacji

Tak może wyglądać szczęście (*projekt*): pustka rekreacji
I pełnia uczestnictwa Gramy w siatkówkę Grzeczniemy w
piachu Mała piana przyboru cmoka o brzegi Owocowe
piwo Cień

W oddechach lewiatany szamoczą się Nienasycone Wstęp
do nas zamknięty (*my o nich zapomnieli*) Trwa tworzenie
Nabożeństwo codzienności Jacyśmy szczęśliwi Choć
tak naprawdę: nie ma nas

III. TWÓJ OJCIEC

dla Czyżboka

Ten spokój gdy zabiera je odma lub mocznica
Ich wilgotne do końca oczy zamiast mowy Los
krótki intensywny Pełen opowieści które potem
snujemy przez lata w ich zastępstwie Ach jaka
to była łagodność Jakie zrozumienie Dzieciaki
na Twoim grzbiecie i nigdy najmniejszego
protestu żadnego warknięcia Szkoła tolerancji
dla niejednego z rodziców Wspólne lata jak w
starym dobrym małżeństwie A potem wszystko
nagle Bez należytego pożegnania Wreszcie ostatnie
dotyki (sierść jeszcze wilgotna i prężna)
Chcielibyśmy wierzyć w istnienie Twojej duszy
oraz w te łąki po których podobno ganiacie
swobodne I w nas jacy niegdyś też tam przyjdą
Wyłoniły się zza łagodnego wzgórza w trawie po
kolana Czekając uklękawszy aż przybiegnięcie
jak zwykle merdając ogonami i domagając się
pieszczoty a także obowiązkowego ciasteczka Bo tak
długo nas nie było A przecież pamiętałyście co wieczór
zwracając pyski ku zachodzącemu słońcu Z niemym
pytaniem: co ich powstrzymuje?

(To nie sentymenty do cholery!)

Lament IX

III. TWÓJ OJCIEC

której zginęła Patrycja; Madryt 11. 03. 2004
Ponieważ nie widzę w sobie światła
Szukam go na zewnątrz

Ponieważ nie słyszę w sobie głosu
Staram się milczeć

Ponieważ nie mam w sobie siły
Nie pocieszam innych

Ponieważ nie obdarzono mnie pewnością
Do niczego nie chcę przekonywać

Ponieważ nie dano mi prawdziwej wiedzy
Niczego nie twierdzę

Ponieważ tylko to mi pozostało
Wciąż kocham

Little girl, big heart

III. TWÓJ OJCIEC

Oto napis na twoim T-shircie, Klementyno Lwie Serce, córeczko.
Księżniczko waleczna. Jaka piękna jest Twoja zbroja, o Pani! Ale nie
widzę
oręża. Czym staniesz przeciwko Tej, która dzierży oścień?
Czas porozmawiać poważnie. Wiedz, że czasami wielkie serce to
za mało. Och, wiem o tym nazbyt dobrze. Ale wiedza nie leczy.
Takie dla Ciebie sowie zagadki na wieczór. Na początek. Potem?
Będziesz obserwować postępy ciemności. I małe kleksy jasności.
Oto droga.

Trzecie dziecko

III. TWÓJ OJCIEC

Basi

Przyszło znikąd Wyloniło się z mgły
Kilkanaście lat po swoim urodzeniu
Stanęło przed nami A my bezradni
uwierzyliśmy w dar

Niegodni zabiegani powierzchowni
śpiący za długo zaaferowani bardzo
bardzo zagonieni

Trzecie dziecko niczego nie chciało
Za niczym nie goniło Niczego nie
pożądało Było wyrozumiałe Nie
mówiło językami ludzi i aniołów

Nie miało daru prorokowania Nie
znało tajemnic Nie posiadało wiedzy
Nie umiało przenosić gór

Ale było cierpliwe Dobrotliwe Nie
zazdrościło Nie było chępliwe Nie
postępowało nieprzystojnie Nie szukało
swego Nie unosiło się

Nie radowało się z niesprawiedliwości
Wszystko zakrywało Wierzyło
wszystkiemu Spodziewało się
wszystkiego I wszystko zносиło

Trzecie dziecko stanęło przed nami
Nieustające Zapewne bez wiary Ale
myśmy wiedzieli

Trzecie dziecko Nasze lustro Mętne
Widzieliśmy jak gdyby w zagadce
Ale teraz będziemy poznani tak
jak na to zasługujemy Bo oto trzecie
dziecko stanęło przed nami

Siddhartha

III. TWÓJ OJCIEC

Książę mój książę z obcej opowieści Oto
otwierają się odrzwia Wychodzisz na świat
Tak jak moja córka Zobaczycie to samo
Starość Kalectwo Zniedołężnienie Lęk Ból
Brama do prawdy otwiera się powoli Za
chwilę ruszy orszak Biedny Książę Biedna
Weroniko Niczego jeszcze nie wiecie Ale
oto otwiera się Już za chwilę Już widać

Książę módl się o jej siłę Wspomóż ją
Żeby bogowie w swym kaprysie dali Jej
mimo wszystko lekką duszę krok taneczny
Serce które nie będzie musiało znosić
zbyt wiele O bogowie Dajcie jej także
wzrok sokoli słuch rysi węch
najwierniejszego z przyjaciół człowieka
Żeby nie umiała przejść obok nie usłyszeć
nie wyczuć I żeby z daleka omijała Nowy
wspaniały świat

Wiersz ostatni (waleta)

III. TWÓJ OJCIEC

córeczce

Weroniko, Dezyderio. Nasi znajomi wciąż
się mylą i mówią o Tobie: «Wiktorio» Może
mają rację? Przecież nią jesteś.

Nie wierzę, że by pisać poezję trzeba mieć zimne
serce (jak powiada Czesław Miłosz w poemacie
o Eurydyce i Orfeuszu). Ale gdyby tak jednak było,
pamiętaj: lepiej nie pisać.

Są sprawy większe. Ten, który to mówi, nie zawsze
to wiedział. Teraz już wie i gotów jest na milczenie.

JAROSŁAW KLEJNOCKI, JAROSŁAW KLEJNOCKI, JAROSŁAW
KLEJNOCKI, JAROSŁAW KLEJNOCKI, JAROSŁAW KLEJNOCKI,
JAROSŁAW KLEJNOCKI, JAROSŁAW KLEJNOCKI, JAROSŁAW
KLEJNOCKI, JAROSŁAW KLEJNOCKI, JAROSŁAW KLEJNOCKI,
JAROSŁAW KLEJNOCKI, JAROSŁAW KLEJNOCKI, JAROSŁAW
KLEJNOCKI, JAROSŁAW KLEJNOCKI, JAROSŁAW KLEJNOCKI,
JAROSŁAW KLEJNOCKI, JAROSŁAW KLEJNOCKI

IV. Antynirwana

Data traveler

IV. ANTYNIRWANA

Frankfurt Lotnisko Dwa piwa Kielbasa
(*Wurst*) Przed wielkim skokiem do Azji
(*jedenastogodzin lotu*) Noc Nieustająca
noc (*usłużny steward Manfred, miłośnik
śpiewu Edyty Górniak*) Jakies głupawe filmy
kung — fu (*gdzie im tam do «Wejścia smoka»*)
A potem już bardzo szybko Korea (*vivat Lufthansa!*)
Jeden ogromny industrial Krajobrazy wyparte z
pamięci Miasto w smogu Tłumy na ulicach
I oddzielenie Jakbym wylądował na innej planecie
opuścił własne ciało (*wniebowstąpienie? wziemiowejście?*)
Więc chwila tymczasowej radości Bo poza czasem i poza
znanym dobrze znanym światem

Posąg Buddy w klasztorze w środku miasta
Gestem jednej ręki powstrzymuje strach (*obawę?*)
Drugą ręką zaprasza do śmiałości Gdybym w to wierzył
Gdybym to przyjął byłbym —
Byłbym

Epigramat niecenzuralny

IV. ANTYNIRWANA

Nie wypowiadać słowa na, ś*. Nie zapominać o
rannej gimnastyce (*ewentualnie jogging*). Od
święta tenis. Codziennie multiwitamina. Rzucić
palenie. Z alkoholi tylko wino (*czerwone, nie więcej
niż dwa kieliszki dziennie — najlepiej
do obiadu*). Kobiety oczywiście krem przeciw
zmarszczkom (*te kurze łapki w kącikach oczu*).
Raczej margaryna. Nie wypowiadać słowa na «ś»!
Ściśle planować przyszłość jakby się było
architektem. I zawsze powtarzam zawsze myśleć
o cholesterolu.

Epifania II (modified)

IV. ANTYNIRWANA

Przejdą burze wiatr Nagły śnieg
w maju roztopi się przez noc Zwinna
jaszczurka przemykająca przez ogród
(*obserwuję ją złapawszy ruch kątem
oka gdy wbijam litery w komputer*) Tak
samo koty ale nie te z Milanówka tylko
tutejsze swojskie Nic nie znaczące (*sama
zwinność i czysta cielesność*) Miętkość
futra delikatne pomruki podgardla Reg —
lamentowana przyjemność dotyku Kot
jest kotem nie pojęciem kota Krzesło
krzesłem a umieranie umieraniem

Esse, nieesse

IV. ANTYNIRWANA

Jestem tam, gdzie chcę być powiada
Ten, który jest tym, jakim jest Tak
przynajmniej tłumaczy Izaak Berlin
Ta teodycea ma moc interpretacji
Już wiemy: gdzie płonęły stosy ludzkich
ciał Jego nie było Wycofał się niedosiężny
naszym sądom i naszemu pojmowaniu?
Czy może po prostu dał nam wreszcie
nieograniczoną wolną wolę byśmy po
wsze czasy zrozumieli kim jesteśmy?
Pozwolił nam rządzić — do końca — czasem
i historią? Byśmy siali zniszczenie jako
refleks tworzenia?

Jakież to ponure Uwolnij człowieka a ten
natychmiast podłoży ogień pod własny
dom Jakby nie można było ustanowić
czegoś odmiennego

Jeśli jest rzeczywiście Tym Który chce być
jedynie tam gdzie chce to tak naprawdę
jaki wybór dla nas?

Hybris

IV. ANTYNIRWANA

Marcinowi

»Tak, przyznaję się. Omotał mnie wicher,
ten posłaniec chaosu. Tak, zdaję sobie
sprawę z własnej winy. Ale miłość nie
zna granic. Jest jak tsunami. Łamie zapory.
Są jednak dni, gdy jestem niemal pewien, że
stałem się igrzyskiem demonów. Wtedy
pochylam głowę i dotykam piersi zaciśniętą
w pięść dłonią.

Ale przecież piękno i dobro nie mogą być
dziełem ciemności. Na takie kuszenie nawet
On, Pan Błędu, Wielki Psuj, nie zyskałby
pozwolenia od Tego, który zgodził się na
próbę Hioba. Każdemu, bowiem, według
możliwości jego. Chyba że mieli rację
Ariusz i Mani. Wtedy biada. Wtedy nie
ma ucieczki, ni usprawiedliwienia.

Jednak nie. To wszystko miało cel i otom
jest u celu. Wciąż w drodze do Damaszku,
ale na rozstajach. Więc ulegam. Prowadź
mnie zatem, prowadź, zaranna gwiazdo. Daj
mi wytchnienie, górski potoku. Na tej drodze,
pełnej kamieni, potykam się. Ale czyż nie lepszy
wędrowiec od tego, który poniechał? Ufam, bo
tylko to mi pozostało. Ocal mnie.*

Drugi wiersz postróżewiczowski

IV. ANTYNIRWANA

Oto Edyp. Edyp który czytał
Camusa i rozpoznał dzieje Syzyfa
zbuntowanego.

Mówi: dobrze, Niebo. Chcesz
bym zabił ojca swego i
poślubił matkę swoją?
Bym miał z nią dzieci?
Tak więc będzie.

Tak, Niebo. Będę żył długo
i szczęśliwie. Bez wyrzutów
sumienia i nocnych koszmarów.
Moja radość będzie powszechna.
Aż Ty, Niebo, szerniejesz i
zapadniesz się w sobie.

* * *

IV. ANTYNIRWANA

A gdyby tak Pan Zastępów Kyrios Sabaoth...
Gdyby tak (*niechby dla żartu próby rozrywki wyzwania*)
już dawno odwrócił się Pozostawiając jedynie mokre
ślady stóp na piasku Chwile zanim fale morza zaleją
je ostatecznie i nieodwracalnie (*nie będzie drugiego
przyjścia*)

Stanąłbym w świetle Wiedząc co jest a czego nie ma
Zrzuciłbym ostatecznie płaszcz Prospera to znaczy
rozstałbym się z iluzją nadzieją A być może także wiarą
Która podobno dźwiga i przewraca trony Pozwala
czuć się — zamkniętym w łupinie orzecha —
władcą bezkresnych przestrzeni

Gdybym wiedział mógłbym porzucić barkę po przeprawie
przez rzekę Nauczyłbym się klaskać jedną dłonią Posiadłbym
umiejętność zapominania o sobie Umiałbym oddać się innym —
zwierzętom i roślinom które i tak nie potrzebują mojego ciepłego
oddechu

Taki byłbym gotów Słońce jednak za obłokami a światło
przymglone
Odebrana czytelność znaków Ach jaka niepewność Jakie
pragnienie
A gdyby a gdyby powtarzamy
Znaki tylko mamy

Izaak milczy

IV. ANTYNIRWANA

Wracają z ziemi Moria Idą
trzy dni I milczą Milczą
Abraham bo cóż ma powiedzieć?
Przeszedł jedną próbę ale nie
przeszedł drugiej Jest trochę
oszołomiony i trochę podekscytowany
Błogosławił mu Pan A Izaak?
On też milczy Rozpamiętuje
Jego Ojciec wybrał Boga Nóż
już wisiał gotowy Ojcie jakże
mogłeś mnie tak zawieść chciałby
rzec ale słowa nie przechodzą
mu przez gardło Komu teraz
zaufa Izaak? W którą stronę spojrzysz?
Ojciec i Syn wloką się więc w
goryczy podszytej zwycięstwem

(I tylko ten wiatr)

Zapowiedziany

IV. ANTYNIRWANA

Mieszkałem w jej ciele A teraz szybuję
Jestem częstką obłoku Lśniącym opiłkiem
w ogonie komety Cieniem jaki rzuca mgła
na przemoknięte zbocza Pozostawiłem ich
Znów samych Widzę jak spacerują z psem
Obejmują się I choć nikt nie słyszy mówią
do siebie szeptem Zapowiedziałem
swe przyjście Ale nie Jeszcze nie teraz
Czemu, nie powiem To tajemnica Tymczasem
czuję w nich kolce rosnące do wewnątrz
Nie umiem współczuć bo moje ciało nigdy
nie poznało bólu Chciałbym żeby wierzyli
że wszystko ma sens i swoje uzasadnienie
Nad ich głowami tańczą małe ogniki

IV. ANTYNIRWANA

Powiedz to jedno jedyne słowo Wypowiedz je To które
wyszłoby z twoich ust gdybyś stał na wielkiej skalnej platformie
ponad norweskim fiordem (*sześćset metrów w dół do wody*)
Które wyrwałoby ci się z piersi znad pokładu lotniskowca
(*jesteś sam wokół tylko szalejąca piana oceanu*) Które
uroniłbyś nad grobem rodzinnym Które powiedziałbyś
ukochanej już po wszystkim (*gdy dyszycie spoceni*) Które
zabrzmiałoby echem w pustej świątyni Które wieńczy całość

Gdybym miał wypowiedzieć to jedno jedyne słowo
Powiedziałbym:
współczucie

Lament VI

IV. ANTYNIRWANA

Idzie król królów Miękki jego krok
A ty opuściłeś go bo szukałeś perły —
w rozbitym kamieniu pod ściętym
drzewem — wszędzie wszędzie wszędzie
Za tobą otchłań (*jak zawsze jak zwykle*)
I sen o drabinie (*co zostanie z tej walki?*)

Nadejdzie dzień kiedy to co pomieszane
uporządkuje się Co zakrzywione wyprostuje
Co zagubione znajdzie Co dalekie stanie się
bliskie Co nie twoje będzie twoje Co rozdarte
zostanie zaszyte Co utracone powróci

Na razie tylko blizny abyś zapamiętał

Litania IV

IV. ANTYNIRWANA

Czymże jest człowiek by o nim pamiętać
Obraca się świat Martwe wrzeczono

Czemu stoisz z daleka Niewidzialny
Ukrywasz się w czasach niedoli

Powiedź mnie drogą sprawiedliwych
Podnieś z upadku abym się nie zgubił

Uchroń mnie schowaj Otocz słowami
Jak srebro przetoczone Jasne Dźwięczące

Bądź przy mnie gdy wyszeptam: Obłoki
Piękne moje obłoki jaka radość Lekkość ziemi

Dotknij mnie abym umiał rozpoznać
Ale zamknij me usta kiedy będzie trzeba

Litania VI

IV. ANTYNIRWANA

Chodzę wezwany po tym pustym wnętrzu
Nie śpię i nie śnię Czuwam Żyję Trwam

Niczego mi nie brakuje Jestem nasycony
Wszystkiego pragnę Chce zamieszkać w domu

Bramy podnoszą swoje wierzchy
Na mojej twarzy cięcie bicia

Na morze rzucona moja tratwa
Na mojej skórze pręgi

Chodzę wezwany po tym pustym wnętrzu
Na moich rękach trąd

Poddaję się próbie nerek i próbie serca mego
Na moich oczach zaćma

Na skale wznoszę twierdzę Drwię z nieprzyjaciół
Na mojej szyi ślad obroży

Obym nie zaznał wstydu gdy przyjdzie rozliczenie
Obym odnalazł wyjście z miasta utrapienia

Abraham, przeprosiny

IV. ANTYNIRWANA

Mało śpię i czytam Sorena Kierkegaarda
O drabinie do nieba i człowieku na niej
Jakaż siłę musi mieć ten kto zaryzykuje
Przyjmie ostateczność i pochyli głowę

Przepraszam cię Abrahamie za pośpiech
i gniew Podziwiam twoją ufność chociaż
jest niehumanitarna Zazdroszczę ci mocy lecz
boję się jej Ona prowadzi do zwycięstw

które przetrwają Historię Ale rodzi też
zbrodnię bo nie każdy jest wybranym
Dla siebie zatem wybieram drogę
pośrednika wolności Aktora drugiego planu

Bez którego sztuka nie mogłaby się odbyć
Ale którego nie będzie okłaskiwać żaden
widz skupiwszy swą uwagę na prawdziwych
bohaterach Widzisz Moim nauczycielem

był Pan Cogito Pełen wątpliwości człowiek
ze Środkowej Europy Miejsca gdzie zapach
dawno palonych ciał wciąż unosi się nad
łąkami Dlatego nie mogę nie umiem nie

potrafię tak wierzyć Choć tak bardzo
chciałbym A ponieważ kazano mi wybierać
więc wybieram dziecko Przytulam Izaaka
pozostaję głuchy na wezwanie Tak

Antynirwana

IV. ANTYNIRWANA

Wszyscy powrócą Wróci każdy szczegół ziemi
Kwiaty Eufratu wróca Pierścienie egipskich
księżniczek Pot na karku Spartanina Lśnienia
ostrzy bagnatów (*gwardie idą w rozsypkę Cesarz
traci złudzenia*) Las arkadyjski Dionizos jako małeńkie
dziecko Te miliony spalone wstające z popiołów Lichtarz
na stole Brylant malowany we Flandrii I zmartwychwstana
kule białe w potylice I liść oleandra zgniły I kieliszek z serwisu
Wszystko stoi za drzwiami w niepojętej mnogości

Wróci mój ojciec niebożę Być może lepszy I ja wrócę do p oczątku Do źródła Do pierw-
szego błysku Wyzbyty skaz Dobry dla zwierząt i ludzi Uśmiechnięty do dzieci Stanę przed
drzewem by jabłko mogło rosnąć do Końca

Przylądek pozerów

IV. ANTYNIRWANA

Dla Pawła

No więc jak to jest proszę pana Żadnych
zakrętów Żadnych deklaracji Idziemy nie
tam gdzie znane poetki Swoją drogą czemu
nasi współcześni poeci piszą o nas —
nadając swoim bohaterom prawdziwe nazwiska
Jakby układali pitaval albo raczej kronikę
Kronikę wypadków rzecz jasna Kronikę zapowie-
dzianej śmierci To takie żalosne Zaczyna się
od wieczoru autorskiego a kończy na pijatyce
w bramie (*Bramie*) Powtarzalny scenariusz
Znajome wyczekiwanie Do obrzydliwości Do zachwyty
Ach te legendy Legendy młodej jeszcze Polski
I to nasze rozproszenie Czymże bylibyśmy bez niego?
Profesorami wyższych uczelni? Znakomitymi chirurgami?
Obrońcami w procesach o przyzwoitość? No więc jak to jest
proszę pana Bo trzeba odpowiedzieć Bo to krótkotrwałe
zawieszenie jeszcze trwa ale już zbiera się officium
Nakręca wielki zegar rozlepia obwieszczenia A my
w przejazdach Stąd — dotąd Albo dalej Ciągłe w jakichś
iluzjach maskowanych cynizmem Jezus jest z Tobą'
szepcze brzydka nastolatka gdzieś na peronie dworca
A może to tylko trzecioplanowa bohaterka którejś
kultowej powieści jeszcze jednego kultowego
pisarza? «Nie czuj się z czegokolwiek zwolniony»
mogłaby równie dobrze wymamrotać A ty tylko
ruszasz naprzód Jasne Jezus jest z nami
wszystkimi

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest udostępniony na licencji *Licencja Wolnej Sztuki 1.3.*

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3.* Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/klejnocki-elegia-na-smierc-szczegolow-tom>

Tekst opracowany na podstawie: Jarosław Klejnocki, *Elegia na śmierć szczegółów* - wiersze wybrane, wyd. K.I.T. "Stowarzyszenie żywych poetów", Opole 2012.

Wydawca: Fundacja Wolne Lektury

Publikacja zrealizowana w ramach biblioteki Wolne Lektury (www.wolnelektury.pl).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, seku.

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).